



# Sekret indygo

Natasha Boyd



Natasha Boyd

# Sekret indygo

PRZEŁOŻYŁA  
URSZULA GARDNER



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*The Indigo Girl*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Katarzyna Masłowska

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki i wyklejki: Agata Łuksza

Obraz wykorzystany na okładce: John White Alexander – Althea

DTP: Maciej Grycz

*The Indigo Girl*

Copyright © 2017 by Natasha Boyd

All rights reserved.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo  
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wymyki z listów Elizy Pinckney zamieszczone w anglojęzycznym oryginale wykorzystano za zgodą i dzięki uprzejmości South Carolina Historical Society. [W przekładzie na język polski podano je w wolnym tłumaczeniu].

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-696-1

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | [www.WydawnictwoKobiectwo.pl](http://www.WydawnictwoKobiectwo.pl)



# Rozdział 1

1739

Murzyni śpiewali.  
Światło tańczyło na powierzchni ciemnego, atramentowego oceanu... Zamrugalam, by podnieść ciężkie od snu powieki.

Nie ujrzałam żadnego oceanu.

Tylko błądy błękit wstającego dnia sączący się do wnętrza mojej białej sypialenki.

Sen nadal mi towarzyszył. Ten sam, odkąd byłam mała. Jedynie, co się w nim zmieniało, to emocje – raz czułam strach, kiedy indziej znów euforię.

Chwyając oddech przez otwarte usta, pomyślałam, że ten dzień przyniesie ważną zmianę w moim życiu.

Z chóru głosów przebijał się charakterystyczny bas Togo, którego tembr pozostawał w oczywistej korelacji z jego rozmiarami. Choć w Karolinie Południowej byłam zaledwie od kilku miesięcy, zdążyłam się przekonać, że ten głęboki bas stanowi kanwę dla reszty murzyńskich głosów, które splatały się z nim, roztańczone. Zdążyłam też zrozumieć, że ilekroć w ten sposób śpiewają, pracują zwykle w pocie czoła.

Żniwa. Murzyni śpiewali, ponieważ rozpoczęły się żniwa.

Niechętna powitaniu nowego dnia, który jak wszystkie inne spowije mnie duszną wilgotnością, pozbawiając energii, zanim zdołam się uporać ze swoimi zadaniami, musiałam zebrać się w sobie, by odrzucić przepoconą pościel na bok i wstać, nie mitrząc więcej czasu.

Na stoliku czekały już na mnie misa i dzban, przygotowane przez Esmé. Przeciągnęłam się, aby przepędzić z ciała lekkie resztki snu, aż pozostało we mnie tylko niejasne poczucie triumfu, jakbym osiągnęła coś ważnego, choć nie wiedziałam dokładnie co.

Odświeżyłam się prędko wodą prosto ze studni, po czym dłońią – nieco tylko ciemniejszą od reszty jasnej cery normalnie skrytej przed słońcem – sięgnęłam po dzwoneczek. Zrobiłam tylko jedno dzyń, nie chciałam bowiem obudzić ani polegującej *maman*, ani małej Polly, ale i to wystarczyło, by przywołać podobną do zjawy postać Esmé, która wzrok i słuch miała nie gorsze niż u sowy. Wślizgnęła się do sypialni, odziana w płócienną sukienkę i materiałowe pantofle bezszelestnie sunące po deskach podłogi; wyróżniał ją muślinowy turban owinięty ciasno wokół głowy.

– Witaj, Essie. Usłyszałam śpiew. Czyżby zaczęły się żniwa? Powinnyśmy się pośpieszyć.

– Tak. Ale Duży Lucas, on chce z panią rozmawiać.

Zmarszczyłam czoło. Ojciec nigdy po mnie nie posyłał. Co rano udawałam się do jego gabinetu sama, by pomóc mu z korespondencją po tym, jak już obeszłam plantację. Moim zadaniem było pisanie listów, które dyktował. Wenę znajdował, krocząc po pokoju tam i z powrotem, jakby dzięki temu wpadał na słowa, których powinien użyć, chcąc odnieść się do co delikatniejszych kwestii. Później wybieraliśmy się na obchód

naszej małej plantacji razem, a ja zwracałam jego uwagę na sprawy, które moim zdaniem wymagały załatwienia. Zdarzało nam się też odwiedzać dwa inne kawałki ziemi do nas należące – Quash, nasz woźnica, zabierał nas tam, żebyśmy mogli porozmawiać z zarządcami.

Esmé uwolniła moje włosy z nocnego warkocza, przeczesala je drobnym kościanym grzebieniem i połączyła pasma od nowa, by upiąć grube jak przegub sploty tuż nad karkiem. Miała do tego dryg i nigdy nie traciła na toaletę więcej czasu, niżbym sama chciała, i to pomimo ciągłych pretensji matki, że nie przejmuję się więcej swoim wyglądem. Zajmując się mną od dziecięcych lat spędzonych jeszcze na Antigui, Essie wiedziała, że nie w smak mi strojenie się, któremu hołdowała moja matka. Znajdowałam się dopiero na granicy dorosłości, toteż nikt nie wymagał ode mnie wciskania się w gorsety i paniery.

Essie oraz Mary Ann i Nanny, dwie Murzynki, które zawiadywały domem, gdyśmy się tu zjawili, we trzy pilnowały, aby życie na plantacji przebiegało gładko i bez zgrzytów. Całe szczęście, ponieważ *maman* nie nadawała się do gospodarzenia, a ja zbytnio byłam zajęta wkradaniem się w łaski ojca, który chętnie zapoznawał mnie z tajnikami interesów. Stanowiło to dla mnie fascynujące wyzwanie, zresztą dzięki zamięlowaniu do roślin i ogrodnictwa, które rozwinęło się u mnie jeszcze na Antigui, moja wiedza nierzadko okazywała się przydatna, gdy pojawiał się temat upraw.

Szybciutko jeszcze podlałam sadzonki na parapecie – młodziutkie wiecznie zielone dąbki подарowane mi w prezencie przez sąsiada, również entuzjastę botaniki, pana Deveaux – i dopiero potem skierowałam swoje kroki na dół.

– Elizo – zza uchylonych drzwi gabinetu rozległo się ojcowskie warknięcie.

Przechadzał się już przed otwartym sekretarzykiem z czasów służby wojskowej, który przedkładał nad biurko z polewanego mahoniu zakupione zaraz po przybiciu przez nas do Charles Town. W pełni odziany i gotów na nowy dzień, siwiejące na skroniach szatynowe włosy – mimo że wypomadowane – miał w nieładzie. Jego czoło przecinały zmarszczki świadczące o konsternacji.

– Papo – odparłam i zaraz się poprawiłam: – To znaczy ojciec. Pułkowniku...

Wielce go rozbawiłam, gdy przy niedawnej okazji stwierdziłam, że jestem zbyt dorosła, aby zwracać się do niego w ten sam sposób jak moja siostrzyczka Polly. Chociaż przyznał mi rację. I rzeczywiście, nasze rozmowy powoli nabierały partnerskiego czy też przyjacielskiego charakteru w miejsce typowego dla rodzica i potomka. Nie zamierzałam tracić tego świeżo uzyskanego przywileju, z którym wiązał się szacunek. Wprawdzie ojciec był człowiekiem uczciwym, miał silne poczucie sprawiedliwości i z reguły dotrzymywał słowa, ale od najwcześniejszych lat wiedziałam, że pewnych granic lepiej przy nim nie przekraczać.

– Czy jadłeś już śniadanie? – zapytałam z troską.

Skinął głową z nieobecny wyrazem twarzy.

– Tak. Ja... – zaczął i urwał. – Wczoraj w mieście wpadł w moje ręce list, który dopiero miał zostać wysłany wraz z tego tygodniową pocztą. Kierowany do mnie. List, a właściwie... wezwanie.

Przełknęłam ślinę.

– We... wezwanie, pułkowniku?

– Jestem potrzebny na Antigui.

– Musisz tam wrócić?

– Obawiam się, że tak. Przed końcem miesiąca. A miałem nadzieję zabawić z wami dłużej, upewnić się, że się zaaklimatyzowałyście,

a przynajmniej że twojej matce się polepszyło. Przeprowadzka niestety wywarła na nią zły wpływ.

Wydełam usta. *Maman*, z jej migrenami i niemocą, źle reagowała na powiew wiatru. Nie mogłybyśmy się bardziej różnić, ona i ja. Często się zastanawiałam, co skłoniło mojego pełnego energii ojca do małżeństwa z kobietą równie markotną i bezsilną. Była urodziwa, to trzeba przyznać, lecz papa nad urodę przedkładał inne zalety. Nasłuchałam się o tym, zanim oboje odesłali mnie do szkoły w Anglii, gdzie trafiłam pod skrzydła Boddicottów, podczas gdy moi młodszy bracia George i Tommy nadal cieszyli się obecnością rodziców, pobierając nauki na miejscu.

– Co będzie z plantacją po naszym powrocie na Antiguę? Ufasz zarządcom na tyle, aby im ją powierzyć bez wahania?

Papa okręcił się na pięcie, aby spojrzeć w moją stronę. Jedną dłoń trzymał się za podbródek, drugą w zamyśleniu gładził żabot. Wpatrywał się we mnie z taką mocą, jakbym posiadała sekret życia. Opuszczając ręce, westchnął głęboko.

– Elizo. Twoje pytanie bardzo mi pomogło w podjęciu tej ważkiej decyzji.

Nie musiał dodawać, że od samego początku był gotów ją podjąć i przyklepać, zanim dzień na dobre wstanie.

Perspektywa powrotu na Antiguę z jej szmaragdowozieloną roślinnością, lazurowym morzem – i niewątpliwie czekającym na mnie murzyńskim przyjacielem z dzieciństwa, Benoît – wydawała mi się całkiem miła. Nie kto inny jak Ben, doskonale znający się na roślinach, rozpałił we mnie zamiłowanie do botaniki i to za nim najbardziej tęskniłam, próbując przywyknąć do życia na tutejszej plantacji.

O ile jednak powrót na Antiguę czy nawet do Anglii zapowiadał się kusząco, o tyle oczekiwania społeczne wobec mnie, ażebyśmy poślubiła uprzejmego młodego porucznika z dobrej



angielskiej rodziny, takie już wcale nie były. A nic innego by mnie nie spotkało, gdybym znalazła się w którymkolwiek z tych miejsc.

Kiedy przyjrzałam się papie uważniej, spostrzegłam nieład w jego odzieniu i bałagan na biurku.

– Nie zmrużyłeś oka, prawda?

– Nie miałem czasu na sen. – Zbył mnie machnięciem dłoni. – Chodźmy, Betsy. – Odchrząknął i poprawił się szybko: – To znaczy Elizo.

Choć pokręcił do siebie głową, widziałam, że ma świadomość, jak bardzo mi zależy, aby wziąć rozbrat z dziecięcym zdrobnieniem, którym wszyscy jeszcze niedawno mnie nazywali.

– Zjemy coś, a potem udamy się na spotkanie z zarządcami Garden Hill i Waccamaw – postanowił.

– Będę ci towarzyszyć? – Pilnowałam się, aby nie okazać nadmiernego entuzjazmu, mimo że w głębi ducha skakałam z radości, iż dopuści mnie do „męskich spraw”.

W jadalni przełożyłam na talerz gotowane jajko i nieco wędzonej na zimno ryby spośród dań wystawionych na kredensie. Ojciec tymczasem wskazał mi miejsce przy długim stole, sam zaś zasiadł u jego szczytu.

– Powiedz mi, Elizo – zagaił. – Podoba ci się tutaj? Wiem, że liczyliśmy na to, iż klimat w koloniach okaże się bardziej umiarkowany niż na wyspach i twoja matka odniesie korzyść, tymczasem... – Uśmiechnął się smutno. – Chyba nie ma tu nic, od czego mogłaby się poczuć lepiej.

– Mnie się podoba – zapewniłam solennie, rozmyślając, co by tu jeszcze dodać. – Miasto, ludzie...

Oczywiście najbardziej ze wszystkiego podobały mi się nasze wspólne chwile na plantacji, kiedy papa mówił, ile da się wycisnąć z tej ziemi. Z wolna ów nowy świat z porastającym

wszystko wilgotnym widmowym mchem i z bagnistymi słonymi wodami, pod których powierzchnią czaiły się potwory, zaczęły przenikać do moich snów, oswajając mnie ze swoją innością.

Nasze posiadłości na wyspach – głównie plantacje trzciny cukrowej – były niewielkie, uprawiane do ostatniej piędzi ziemi.

W koloniach wszystko miało większy rozmach. Dostrzegał to papa, dostrzegałam to ja. Ziemia była tak żyzna, że dałoby się uprawiać melony, pomarańcze, maniok, sezam...

Ojciec papy zostawił mi urodzajną połąkę ciągnącą się wzdłuż brzegów Wappoo Creek, oddaloną o ledwie sześć mil przez wodę od Charles Town. Z posiadłością szła w parze czereda niewolników i niełatwe zadanie wyrobienia sobie nazwiska na nowym polu, nie licząc tego związanego z mundurową służbą Koronie. Była to okazja, której za nic nie mogliśmy przepuścić – jak lubił powtarzać papa, który z mety dokupił dwie spore działki w głębi lądu, znane z wydajności, jeśli chodzi o wytwórstwo drewna i uprawę ryżu, z czego jedno i drugie było poszukiwanym towarem.

– Elizo – podjął papa. – Ażeby zapewnić sobie pozycję w armii, musiałem wziąć pożyczkę pod zastaw naszych posiadłości, na Antigui i tutaj. Nie uśmiecha mi się znów walczyć, ale Hiszpania stała się prawdziwym zagrożeniem. Poza tym jak inaczej miałbym awansować?

Przełknęłam w pośpiechu kawałek suchego żółtka, próbując nadażyć za informacjami, którymi dzielił się ze mną papa. Oczywiście wiedziałam, że Indie Zachodnie stanowią ważny punkt strategiczny w zmaganiach z Hiszpanami, nie miałam jednak pojęcia, że papa – dla utrzymania swojej pozycji w armii – będzie zmuszony powiększyć nasze zadłużenie. Wprawdzie nigdy nie wątpił w to, co robi, ale przy tej okazji ogarnęło mnie uczucie paniki.

– Dlatego tak ważne jest, aby ta ziemia zaczęła przynosić dochody – dodał głosem szorstkim, a zarazem konfidencjonalnym,

jakby wyznawał mi tajemnicę, której moje młode uszy nie powinny usłyszeć. – Nasza przeprowadzka nie miała na celu wyłącznie poprawy zdrowia twojej matki, choć niewątpliwie oboje nas ucieszyłby taki efekt uboczny.

Otarłam chusteczką kąciki oczu, które zaczęły łzawić, po tym jak niemal się udławiłam jajkiem, i dla zyskania na czasie upiłam łyk herbaty.

– Zapytałaś mnie – kontynuował papa – czy ufam zarządcom. Odpowiedź brzmi: oczywiście, że tak. Gdybyś jednak mnie zapytała, czy ufam, że będą mnie informować o każdej decyzji w odniesieniu do naszej ziemi, naszych upraw, naszych zysków, powiedziałbym, że niekoniecznie. Mamy bowiem różne priorytety. Taki zarządca chce dobrze wypaść i otrzymać wynagrodzenie. – Zaśmiał się cicho. – Twój papa z kolei musi zapewnić byt rodzinie, i to na pokolenia, a do tego przysłużyć się ekonomicznie Koronie. Budujemy tutaj nowy świat, Elizo. Życie podsunęło nam wyjątkową okazję: jako jedni z pierwszych w historii mamy szansę na stworzenie czegoś naprawdę wielkiego.

Niezwykle inspirujące było słuchać o jego wielkim oddaniu dla króla, kraju i progenitury. Co do tego ostatniego wszakże będzie musiał polegać raczej na moich braciach albo na Polly...

– Ojciec...

– Pozwól mi dokończyć, Elizo. Wiem, iż może ci być trudno to w pełni zrozumieć, jako że nie masz jeszcze nawet siedemnastu lat, ale chyba wystarczająco skutecznie wpoilem ci przekonanie, iż człowiek w ogólnym rozrachunku się nie liczy. Pracować należy dla większego dobra: czy to dla Kościoła, czy to dla króla, czy to dla bliźnich.

– Tak, ojciec.

– Zajmujesz się prowadzeniem domu w zastępstwie swojej matki – zmienił nagle temat. – Wyposażyłem cię, jak mierniam,

w pewne umiejętności, które powinny okazać się przydatne na tę ewentualność. Nadszedł bowiem czas.

Dostałam gęziej skórki z emocji.

– Za kilka lat twój brat George osiągnie pełnoletność i powróci z Anglii, aby stanąć u steru zamiast mnie, na razie jednak to ty, Elizo, będziesz występować w moim imieniu, jeśli chodzi o nasze sprawy majątkowe. Pozostaniesz tutaj, w Karolinie Południowej, razem z matką i z Polly, i będziesz zawiadywać majątkiem.

Sapnęłam, całkiem niezdolna ukryć zdziwienia. Plecy miałam sztywno wyprostowane, jakbym połknęła kij od szczotki, dłoń zatrzymałam w pół ruchu, zanim zdążyłam sięgnąć znów po filiżankę.

Papa kontynuował niezrażony:

– Prowadziłaś już moją korespondencję. Teraz zmieni się to o tyle, że będziesz do mnie pisać z informacjami i czekać na moje decyzje i oświadczenia. Rzecz jasna niektóre sprawy będą wymagały, by zająć się nimi pilnie, ale w takiej sytuacji zwrócisz się o radę do któregoś z zarządców, którzy dysponują odpowiednią wiedzą. Poprosiłem też przyjaciela, Charlesa Pinckneya, i jego żonę, aby mieli na ciebie oko i służyli ci radą w razie potrzeby.

Miałabym prowadzić plantację? Ja?

– Ojczy – wydusiłam z siebie wreszcie i na tym był koniec.

Papa uniósł brwi.

– Masz do powiedzenia coś więcej niż jedno słowo?

Przez chwilę czułam się przygnieciona ciężarem odpowiedzialności, jaką złożył na moje barki. Miałabym sama pomnożyć bogactwo rodziny, zapewniając przy tym sobie posag dla męża, którego jak wszyscy wiedzieli, wcale nie chciałam. Miałabym sama nie wpędzić nas w biedę?

Dlaczego w ogóle nas zostawiał?

Któż będzie wykonywał moje polecenia?

W Anglii, skąd pochodziliśmy, pomysł, aby mężczyzna uczynił naczelnym zarządcą swoją córkę, zakrawałby na absurd. Oczami wyobraźni widziałam, jak piszę o tym do mojej drogiej przyjaciółki, a niegdyś opiekunki, Madame Bodicott, i jak ona odbiera moje słowa jako żalosne rojenia pensjonarki. By być czymś więcej niż własność ojca, a potem męża. By być kimś. Kimś, kto się liczy. Tyle że to nie była Anglia. Tutaj wszystko wydawało się możliwe; uczyniliśmy to miejsce swoim domem i staraliśmy się z niczego zbudować coś nowego. Niewykluczone, że w grę wchodziła moja przedwczesna dojrzałość, ale równie dobrze mogła to być moja nadmierna ambicja. W każdym razie zapragnęłam zrobić na papierze wrażenie osoby, którą nie na darmo posłał do szkół.

Zdjęłam drżące ręce ze stołu i ukryłam je pod blatem.

– No więc? – ponaglił mnie papa.

Zadarłam brodę dla okazania pewności siebie.

– Wszystko, czego się nauczyłam dzięki tobie, ojczu, wykorzystam z pożytkiem. I...

– Tak?


– I będziemy za tobą tęsknić – wypaliłam.



*Sięgnij po  
więcej!*



 [www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)